KS. JAN ST. GUZDEK.

Za Ojczyznę

OBRAZEK

Na tle ostatniego powstania z r. 1863.

1908

NAKŁADEM „NOWIN POLSKICH"

614 Mitchell ul.

MILWAUKEE, WIS.

KS. JAN ST. GUZDEK.

Za Ojczyznę

Na tle ostatniego powstania z r. 1863.

1908
NAKŁADEM „NOWIN POLSKICH"
614 Mitchell ul.
MILWAUKEE, WIS.

Mroźny wicher marcowy świstał posępnie, wyciągając dziwną, smutną gamę, nawet półtonową, zapewne dla tego, że musiał się przedzierać przez nagie jeszcze, od mrozu sztywne konary mieszanego lasu szpilkowego dębów z bukami, który roztaczał się w niezmierność, osadzony po obu brzegach Tanwi, toczącej pod Ułanowem swe wolne nurty ze Sanem, jako wnuczka modrej Wisły.

Posępny to był czas owego mglistego poranku marcowego. Potężne wąsy szpilkowych drzew zwieszały się pod ciężarem zlodowaciałej mieszaniny świeżego śniegu, deszczu i szronu, jakby zaklęte w lodowe mumje, szklące się od czasu do czasu w świetle, uchylonej z poza zasłony mglistej matowej tarczy słonecznej. Wicher zaś kołysał nimi we wszystkie strony, otrząsając je z pyłku krystalicznego, który, podmuchnięty wiatrem, unosił się w powietrzu tumanami, fosforyzując przyciemnione zagłębie lasów i potęgując tym silniej mglistość atmosfery.

Cały krajobraz wyglądał, jakby jakiś bezludny, ukarany Eden, zaklęty w lodowe kryształy, gdzie panuje tylko wieczne zimno, wieczna zemsta.

Owe liście szpilkowe kołysząc się w rozpędzonej burzy, wyglądały, jakby zamierzały do zeskoku, aby czmychnąć w lepsze, szczęśliwsze i cieplejsze krainy, gdzie łagodne słoneczko uwolni je prędzej od zimowych, mroźnych kajdan niewoli.

Rwały się do życia; o tak! bo któżby się nie rwał?! Wszak życie tak miłe, tak słodkie — ach! o ileż zaś słodsze i milsze po przebytej ciężkiej nie-

woli — a sroga zima... tak, przecież strasznie przygniata ciężarem niewoli pełne soku życiowego drzewa, kwiaty, zioła, słowem całą familję Flory...

Wrony osiadły gdzieś w bezpieczniejszych zaciszach leśnych, kracząc żałośnie, jakoby pieśń skargi, że pani zima za wiele zabiera wiośnie czasu swym długim panowaniem, krakały żałośnie, bo i onym ta niewola zdawała się przydługą, krakały też i dlatego, bo czuły żer w powietrzu, ciepłą krew po lasach, świeże trupy poległych...

Smutne to były czasy, chociaż naonczas osładzane jakąś nieuchwytną nadzieją, że przecież kiedyś zabłyśnie gwiazda wolności dla nieszczęśliwej Ojczyzny, wolności, okupionej życiem i krwią tysięcy młodych i starszych synów Polski.

Niestety! krwawa ofiara tych lewitów sarmackich widocznie nie była jeszcze miłą Bogu, skoro wszelkie wysiłki ostatnich konwulsji narodowych, zostały udaremnione, a zatrzask gwałtem nam nałożonych kajdan zakleszczał się i zakleszcza coraz boleśniej na zbolałych członkach polskiej Męczennicy...

Że te ostatnie wysiłki narodu, celem strząśnięcia z siebie okōw niewoli, nie przyniosły takich owoców, jakich się nam spodziewać kazano, przeciwnie, że ostatnie powstanie w Królestwie następstwami swymi zaciągnęło boleśniej więzy niewoli, — to przypisać się odważymy poza wieloma innymi przyczynami także i naszej wielkiej, kardynalnej wadzie samolubstwa, pychy i jej córom: zazdrości nienawiści, sporom, waśniom, jakoteż wielkiej i nieobliczonej w następstwa gorączce narodowej. Już naówczas, przy pewnej chłodniejszej temperaturze krwi można było przewidywać, że takie zabieranie się do wywo-

łania rewolucji, jakiego jął się kilkakrotnie odnawiany Rząd Narodowy, nie przyniesie nigdy dodatnich rezultatów powstania.

Już sama władza Rządu Narodowego nie zawsze znajdowała się w rękach ludzi kompetentnych, ale przeciwnie: w rękach osobników o zawadjackim, lekkomyślnym usposobieniu, nieraz bez dostatecznego wykształcenia kwalifikacji; ludzi pełnych arogancji, bez chłodnego taktu politycznego, krzykaczy w ustach, pustych w mózgu, żądnych wywołania brawury, biorących się nieoględnie, gorączkowo- lekkomyślnie do tak ważnych spraw, indywidjów, chcących uchodzić za jakieś „pierwszeństwa'' narodowe. To też nie mogła być zdolną do umiejętnego kierowania powstaniem.

W samym rządzie powstawał wciąż na żądanie niektórych krzykliwych warchołów, chciwych wybicia się na pierwszy-plan, żądnej wyższej władzy niż sam Rząd, jakieś niepotrzebne, obniżające powagę Rządu „trybunały'', „komitety ocalenia publicznego'' itp., które, jak kula u nogi rządu wywoływały ciągłe z nim spory i kłótnie, a co zatym idzie, wzajemne przeszkadzanie sobie w wykonywaniu nadanych obowiązków. Wada ta do dzisiaj przeszkadza nam w osiągnięciu wyższego stanowiska wobec polityki światowej, bo my żyjemy tylko mnóstwem egoistycznych, zwykle mających na celu tylko własny osobisty interes programów, z których zazwyczaj urażona ambicja innych kuje same bziki — i tak nigdy nie możemy do niczego doprowadzić, bo wszyscy chcemy rządzić, radzić, a nikt nie chce słuchać.

Takie to waśnie ludzi niekompetentnych, umysłowo niedowarzonych, dzierżących jednak władzę

kierowaniem powstania, przyniosły szkodliwe następstwa źle prowadzonej ruchawki. Gdyby się wzięto do rzeczy z zimniejszą krwią, z głębszym wyrachowaniem na przyszłość, z czujniejszą ostrożnością i polityczniejszym talentem, to powstanie z r. 1863 wydałoby nam było inne wyniki, jak te, nad którymi dzisiaj płakać nam wypada.

Nieudolność dowódców rosyjskich aż nadto była widoczną, można ją było wykorzystać na swą stronę, bo weźmy tylko np. takiego Ramsay'a ze stotysięczną, dobrze uzbrojoną armiją, mającego w ręku wszystkie punkty strategiczne i cztery fortece — który jednak mimo tego nie mógł pokonać kilkutysięcznej, licho uzbrojonej „bandy powstańczej", jak to z pogardy powstańców nazywano.

Dążenia Samobytników do zatrzymania ostrych reform przeciw Polakom chciały oddać panowanie nad Królestwem łotrom-jenerałom, składającym się po większej części ze strupieszałych, wyuzdanych orgjami karjerowiczów, teutońsko- krzyżackiej krwi, którzy Rosji okazywali swoje uniżenie i usługę dzikim mordowaniem i prześladowanie „polskich buntowszczyków".

Celem Samobytników więc było poddanie chorowitego ciała polskiego — pod noże nihilistycznych operacji krzyżacko-rosyjskich wieszateli w błyszczących uniformach gienerał-gubernatorów.

„L'occasion fait le larron" to też lojalne dla Polaków usposobienie szlachetnego, dobrze wychowanego od bizatyńsko-tatarskiej tyranji i okrucieństwa wolnego, W. Ks. Konstantego, ówczesnego Namiestnika Królestwa, (który w głębi duszy nosił się z myślą ogłoszenia się królem polskim, do czego

szczególnie namawiała go żona, ambitna Aleksandra Józefówna, marząca wciąż choćby o malutkiej koronie polskiej), nie było na rękę Samobytnikom. Postanowili przeto dla owej lojalności wtrącić w dół „mało dla Rosji lojalnego i życzliwego" Konstantego, a do godności Naczelnika wynieść równego sobie zbira, na jakiego im się nadawał najlepiej podły z awanturniczą przeszłością, ze złośliwą żółcią luterską, niemiecko-inflancki junkier, dawny Fryderyk, Wilhelm, Rembert, a teraźniejszy sprawosławniony Fiedor Fiedorowicz Berg, którego dodano ks. Konstantemu na adlatusa z władzą naczelnego wodza wojsk w Królestwie.

Niestety! Dzięki podłym zachciankom lisim intrygom Berga i Samobytników, a naszym wadom, nie dojrzała ta nadzieja księżnej. Rzeczywiście jedyne ocalenie Królestwa leżało w tej ambitnej myśli Aleksandry Józefówny, aby na razie utrzymać do czasu samorząd w Królestwie, a potym ogłosić Konstantego królem polskim.

Marzenia te spełzły jednak na niczym. Łaknący „pohulanki" po Królestwie, podły, nikczemny Berg, Samobytnicy z duszą tatarską i Katkow z jego „Moskiewskimi Wiadomościami" zrobili swoje i dopięli celu przez Filareta przy sposobności wizyty cara w Moskwie d. 19 sierpnia.

Grzechy nasze ciężyły bardzo na szali w ręku Sprawiedliwego, w którego mocy wszystkie rządy świata. „Un malheur ne vient jamais seul".

Właśnie kiedy w Warszawie toczyła się ta dyplomatyczna walka z jednej strony między intrygantami na czele z Z Bergiem i „Moskiewskimi Wiadomościami" Katkowa, kopiącymi w Petersburgu

dół dla W. księcia Konstantego, a z drugiej strony między usiłującym utrzymać autonomję Królestwa W. Księciem, margrabią Wielopolskim, ówczesnym naczelnikiem rządu cywilnego, arcybiskupem Jelinskim i wielu innymi — w tym to mniej więcej czasie rozlewała się polska krew partyzantów, dążących do absolutnego wywalczenia dawnej wolności Polsce. —

Djonizy Czachowski, Kononowicz, Mielecki, Young, Oborski, Włodek, Solnicki, itd., w Sandomierskim, Taczanowski, Miskiewicz, Mieczkowski, Zakrzewski, na Kujawach; Czechowski, Jeziorański, Zapałowicz i wielu innych w Lubelskim, w Krakowskim (Chmieleński itd.) uwijali się po lasach na czele swych oddziałów, staczając naprzemian już to ze szczęśliwym, już to z nieszczęśliwym wynikiem mniejsze lub większe potyczki z rozlokowanymi wzdłuż austrjackiej granicy rosyjskimi garnizonami.

Gdyby owe lasy potrafiły mówić, opiewałyby nam tysiączno-tomową epopeję polską o strasznych wysiłkach bohaterów naszych, o miłości synów Sarmaty, wyśpiewałyby nam smutną elegję powstańców, pragnących odbudować niepodległość Polski ną własnej krwi i prochach. Czyż może być cudowniejszy temat do liryki? Czyż może być większa miłość nad tą, kiedy kto oddaje życie swoje w ofierze za kogoś?...

Cześć ,jeszcze raz cześć tym cieniom bohaterskich duchów, błąkających się do dzisiaj wśród lasów, kniei i jarów nieszczęśliwego Królestwa.. To opiekuńcze duchy nasze! to zaśnięta Gwardja Narodowa! to zwiastuny lepszych czasów!...

Krwawa ofiara sarmackich Lewitów nie pozo-

stanie bezowocowną — Bóg w sprawiedliwości swojej wrzuci ją kiedyś na szalę dobrych, drogich zasług Ojczyzny. —

———o———

Już się dobrze ściemniało w lipińskich zagłębieniach leśnych. Posępny, mglisty dzień marcowy zmienił się pod wieczór w przenikającą do kości, śnieżną zawieruchę, charakteryzującą ową niestałość pogody marcowej.

Na skraju bukowego lasu, ciągnącego się pagórkowatym, przeplatanym omszoną szronem świerczyną, ogromnym, nierównym zagonem, spadającym w stronę Potoka, stała mała, okopcona chatka, wyłaniająca się jak ptasie gniazdo z gąszcza, z której przebłyskiwało wśród śnieżycy mdłe, często niknące światełko.

Z ciemnych, osmolonych szczytów słomianego dachu roztaczał się zawieruszyście, wiatrem rozpędzany, biały dym, tworzący jednolite kłęby śnieżnych tumanów, które nikły gdzieś w dali, aby ustąpić miejsca innym, roznosząc po kniei aromatyczny zapach spalonej żywicy.

Tamtejszy lud pali w domach nieraz surowymi polankami szpilkowego drzewa, przesiąkniętego żywicą — stąd aromat żywicy w dymie.

Józef Zagroda zaledwo co powrócił z lasu, wszedł do zadymionej, blado oświetlonej izdebki, siekierę rzucił pod ławę, rękawice zawiesił nad kominkiem, z którego trzaskał wesoło ogień, a obtarłszy zwilżone szronem, tęgie, płowe wasy, usiadł na ławie i odsapnął, jak to czynią ludzie zmęczeni ciężką, całodzienną pracą.

— Ale to siarczysta zima się wybiera na jutro —

zagadnął — a jakoże ci ta, Jaguś dzisiaj? — zwracając się do kaszlącej, jeszcze młodej kobiety, kręcącej się zwolna koło kominka.

— Ej, gorzej, nie gorzej — odrzekła Jagna, żona Zagrody, zmęczonym, słabym głosem, który zdradzał chorobliwy stan płuc. Trochę mi było lepiej po tej lipowej herbacie, ale popołudniu musiałam się znowu położyć, bo jakbyś świecą przypalał, tak mię coś korciło wedle piersi.

Józef jeszcze raz odsapnął ciężko, jakby chciał zrzucić z serca tłoczący go jakiś ciężar.

— Boże! Boże! — westchnął — nijakiej mi z ciebie, Jaguś pociechy, chorujesz i stękasz — żeby ci to choć co pomogło, tobym się już piechty ofiarował Panience do Leżajska na odpust... a to biedactwo śpi? — szczęśliwe, nie zna jeszcze biedy!...

W tej chwili rozbudziła się czteroletnia dziewczynka, leżąca na niskim, z byle jakich desek zbitym worku, a rozgarnąwszy się, zeskoczyła i pobiegła do tatusia.

— Toście już tu tatulku?... — a przycisnąwszy główkę do jego ramienia, poczęła mu szeptać do ucha:

— Tatuśku, mnie się tak jeść chce — i znów przytuliła swą złotawą główkę do ojcowskiej piersi.

Józef odgarnął cisnące się jej na oczy jasne, jak len, loczki dziewczęcia — przycisnął do siebie, ucałował trochę umurdzaną, lecz miłą o różowej buzi twarzyczkę, mówiąc:

Poczekaj Stasienku — mama wnet ugotuje wieczerzę — a jakeście się tu sprawowali? — słuchaliście mamy?

— Tatusiu! — a Stasia to nie chciała nosić

trzasek, to ja musiał wszystkie znieść — odezwał się znów z barłogu dziecięcy głos, zabrudzonego Franusia, o rok starszego braciszka Stasi.

— Bo ja musiałam wody nanieść — a tyś nic więcej nie robił, tylkoś trzasek troszeczkę przyniósł, a potym kotka za ogon ciągnął — a teraz kotek się zgniewał i już nie przyjdzie.

— Chodź-no tu Franuś — przerwał Zagroda dziecięce oskarżenia — fe, taki duży, to grzech psocić się ze zwierzątkiem.

— A Stasia, to znów, to... to...

— To co robiła? —

— To znowu lalkę biła.

— E, głupstwo — widzisz lalka nie zwierzątko, lalka nie czuje — przerwał mu ojciec.

Co to za kanalje te bębny — tak ci mi tu cały dzień boży mamrolą, a ja, jakby z krzyża zdjęta — radabym mieć jaki spokój.

— Nie gniewaj sie Jaguś — dzieci jak dzieci — widzicie szelmy jakieś, skierniaki, jak to mamusi dokuczacie, a mamusia taka chora — poczekajcie, pojedziecie wy jutro ze mną na odpust, a teraz ukląknijcie i zmówcie pacierz, bo mi się potym po wieczerzy pośpicie.

Zaambarasowane dzieciaki uklęknęły przed obrazem Matki Boskiej Leżajskiej i odmówiły z ojcem pacierz. Podczas tego Zagrodowa zajęła się zastawieniem wieczerzy.

— Ale wiesz ty co, Jagna, spotkałem Burdalowego Kubę i powiadał, że siła powstańców znów przeszła przez granicę i kryją się gdzieś w lipińskich lasach, ściągają do siebie wiarą, aby się wzmocnić, bo podobno Moskali ma być tęga chmara koło Jano-

wa — odezwał się Zagroda po ukończeniu pacierza z dziećmi.

— Boże! Boże! — oddal nieszczęście od nas — odrzekła Jagna — nie wiele przestraszona tą wieścią — wszak to był chleb powszedni dla nich. —

— Józku — nam tu dobrze w chałupie, przy kominku — ale tamci — biedacy, w takiej zawierusze muszą się włóczyć po lasach, jak jacy zbrodniarze; oj biedna nasza dola, biedna — za jakież to grzechy tak nas Pan Bóg karze?!

Zaledwie wykszstusiła z kaszlem te słowa, gdy na dworze rozległo się urywane szczekanie Burka. Józef popatrzył znacząco na Jagnę, jakby się dorozumiewali niespodzianych odwiedzin.

— Pewnie jakiś z naszych — szepnął Zagroda.

— Albo Moskale — dodała Jagna tonem, znamionującym przerażenie.

Józef wyszedł na podwórze, uspokoił Burka i po krótkiej chwili wprowadził ośmiu karabinjerów, zziębniętych, okrytych w szare kurtki z barankowymi czapkami, wciągniętymi na uszy. Czterech z nich wcisnęło się Józefem do izby — chwaląc Boga, reszta pozostała w sieni, tupiąc nogami i otrzepując z nich śnieg. Gdy się Zagroda przekonał, że to swoi, usunął dębowy stół pod ścianę, powiększając tym przestrzeń izdebki i zaprosił resztę do izby, aby się zagrzali.

— Witajcie nam gazdowie — zawołał pierwszy, wstępując do izby, uderzając rękami o siebie, aby je zagrzać.

Był to silny chłop, wysoki, barczysty, mniej więcej w 40 roku, podobny postawą do Józefa, tylko o kilka lat starszy.

— Witamy, witamy, panowie wojacy — siadajcież, gdzie który może — zagadnął Zagroda — czym chata bogata, tym rada. Biedać tu, bo bieda, ale co robić w tak twardych czasach, człek niepewny ni mienia — którego i tak zawsze brak i życia. —

— Nie czas nam bracie na pogawędki przy ciepłym kominku — odrzekł nieco szorstko ów wysoki — zaapewne straszy karabinierów — ojczyzna w niewoli woła o pomoc, bo Moskał psiawiara coraz chciwszy na polską krew... oj damy mu jej, damy, aż się nią zadławi... — Ale cyt, sza! czy tu nie czuć gdzie Moskalami?

— Nie widzieliśwa nikaj już od dawna, oni się więcej kręcą koło Janowa — tu w łasach jakoś niepewni — gdyby jacy byli, tobym coś słyszał o nich, bo prawie co dzień chodzę daleko do lasu na wyrąb. — odrzekł Zagroda. — a siłaż naszych?

— A, cóżeś ty bratku taki ciekawy? czy ty nie szpieg Moskali — zagadnął nadkarabinier, patrząc nań przenikliwie, takich nam po drodze nie brak.

— Skarajże ich Panienko Marjo, jeśli się tacy jeszcze rodzą na świat!

Mówiąc to urażony Zagroda, spojrzał dość setnie na karabijnera.

— No, no, nie sierdź się tak brachu, nie, przerwał karabinier, klepiąc Józefa po ramieniu — widzę, że tęgi wiarus z ciebie, ale czemu to siedzisz w domu, kiedy ojczyzna siedzi w niewoli? Setny z ciebie chłop. Przydałbyś się na co w naszych szeregach, między nami są i chorzy i starzy, i jak który może służy matce-ojczyźnie.

Zagroda powiódł oczyma po obdartej z wapna izbie, jak gdyby czegoś czekał, i spojrzał tkliwie na

schorowaną, kaszlącą, choć jeszcze młodą Jagnę, w której twarzy o woskowej cerze, odbijały się jeszcze rysy, tak prędko przez gruźlicę strawionej, dawnej piękności — potem rzucił wzrokiem pod wyrko, skąd wystraszone błyszczały, jak u kociąt cztery ślepiątka Stasi i Franusia, którzy czmychnęli ze strachu przed wojakami, spoglądając teraz już nieco ośmieleni na izbę. Nadkarabinier, który odgadł myśli Zagrody, rzekł tonem bolesnym:

— To nie ty tylko masz żonę i dzieci, wielu nas pozostawiło dom i chudobę, aby śpieszyć z pomocą ojczyźnie. Nim cię Bóg opatrzył żoną i tym dobytkiem, już miałeś tę matkę, która dziś jęczy w niedoli. Pan Jezus łaskawy, on się zaopiekuje słabymi, a ty się przysłuż ojczyźnie, bo hańba tym, którzy ją opuszczają w nieszczęściu. A my tu właśnie szukamy pomocy od naszych braci; zbłądziliśmy w lesie pośród takiej zawieruchy i nie możemy natrafić na drogę ku Jedlinkom — do głównego obozu, a jeszcze dziś tam się musimy u naszego dowódcy zameldować. Przed świtem najpóźniej musimy się dostać do Dębiny — prowadź więc nas bracie, ty tu zapewne lepiej znasz te wertepy — myśmy tu obcy, z Galicji, a tu droga trudna i niebezpieczna wśród bagnistych lasów.

Józef coraz więcej zafrasowany, podszedł ku Jagnie, jakby chciał zapytać o zdanie żony. Jagna przez cały czas siedziała na łóżku, pokaszlując i przypatrując się przybyłym wojakom — przysłuchiwała się pilnie ich rozmowie.

Teraz spojrzała smętnie na Józefa i rzekła cichym głosem:

— Józefku, dyć ty dobrze wiesz drogę ku Dę-

binie — wiesz, ta krótsza, przez Zakręcie, ta góreczka ku Potokowi — a droga lepsza, cichsza wśród lasu, tu zaczął ją męczyć kaszel, że musiała przestać, wskazując tylko ręką dalszy kierunek określanej drogi.

— Gaździno, a co wam to? — zagadnął dopiero teraz do niej karabinier — widzę, że wam zima wyprawiła wielkiego psikusa, kiedy tak dychacie — rybi tran z gorącym mlekiem pijcie co rano, to wam z pewnością pomoże — a szkoda was, trzeba się ratować — boście jeszcze młodzi i rozumna kobiecina.

Jagna się uśmiechnęła na ten koncert żołnierski — pokazując dwa rzędy drobnych, zdrowych, bieluchnych zębów.

— Boguć tam jeno polecić — odrzekła — ja już pewnikiem nie do świata, nie do ludzi. Józek owdowieje, to będzie miał młodszą, zdrowszą — tylko mi tych dwóch skamroczków żal — mówiąc to głaskała główki dziecięce, wychylające się z pod wyrka.

— Ej, nie gadałabyś głupstw; nie kuś Pana Boga — wy babaska, byle co, to już wołacie śmierci — odburknął Józef z odcieniem jakiegoś przestrachu przed niewidzialnym, a jakimś bliskim nieszczęściem.

Dziś nam wszystkim umierać — wtrącił wojak — raz kozie śmierć — nie na barłogu, to w lesie, nie od kosy „Kostki'', to od kuli, a jednak tam trzeba pójść — ale, ale — padajcież Józefie, bo nam śpieszno do obozu.

Józef popatrzył jeszcze raz na Jagnę, jakby chciał gwałtem wydostać od niej tę pewność, że ona chorowita da sobie sama radę ze skamroczkami — taka biedna, taka słaba, bo też i jej nieboraczka ma-

tka zamęczyła się na śmierć kaszlem w młodym względnie wieku, a nużby z Jagną miało coś takiego zajść — Boże, oddal nieszczęście.

Jagna rozumiała tę wewnętrzną walkę Józefa — podniosła się z łóżka, podeszła żywszym krokiem do komina, by poprawić garnczek z kaszą na ogniu, jakby chcąc Józka upewnić, że jeszcze z nią tak źle nie jest — jak on przypuszcza — potym zwróciła się wyprostowana do Zagrody, mówiąc pieszczotliwym tonem:

— Józefku, ja tu sobie pomogę z tymi bobroczkami, Franuś drewek naniesie, woda blisko, Stasia też już trochę potrafi odbyć Siwulę — ja się ta już jakoś zakręcę po domu — ty zaś idź Józefku, idź — niech choć tyle uczynimy dla naszej ojczyzny. Jabym była taka dumna z ciebie, żeś wojakiem, dyć byłeś przy cesarskich w Galicji, alеć to nie nasze — jabym rada, aby cię też ks. pleban pochwalił, żeś wiarus — widzisz jaki cię to będzie honor, żeś się też czymś przysłużył ojczyźnie — idź Józefku, idź — da Bóg powrócisz cało, a może i ja będę zdrowszą od tej uciechy — tymczasem zaś poszlę sobie po Bedkową do pomocy — my sami tu już poradzimy — a ty idź, kiedyś tam potrzebniejszy... i zaczęła go głaskać po twarzy.

Starszy karabinier powstał z ławy, podszedł ku Jagnie i uścisnął ją za ramię — mówiąc:

— To mi kobiecina, złote serce, akuratniuśko, jak moja Zochna — brachu Józefie, masz skarb w domu z taką niewiastą; jeżeli wszystkie takie żony i takie matki będzie miała Polska, nie zginiemy.

Reszta wojaków za przykładem starszego po kolei uściskali Zagrodową, której na chorowite lica

wystąpiły lekkie rumieńce, czuła się jakby zdrowszą, jakby ta dawniejsza, oczy jej żywiej błyskały, była to ta sąma Jagienka, która kiedyś z młodzieżą hołupca całą noc wywijała, aż się podłoga trzęsła. —

— Nie takież ja wam to ta złoto, jak mnie nazywacie — odezwała się Jagna, trochę zażenowana — ale mnie się zdaje, że gdybym była chłopakiem, toby mnie nikt a nikt w domu w takich czasach nie utrzymał, na świętą Panienkę, jeśli nie prawdę mówię.

W duszy Zagrody odbywała się przez chwilę walka, tutaj obowiązek męża i ojca, tu znów wiarusa polskiego, współczującego z potrzebą ojczyzny, jęczącej z bólu i krzywdy, która o pomstę do nieba wołała. Nie taki ci on był chłodny, aby dopiero trza było zachęty dla niego, ze strony karabiniera, a tym więcej żony. Płakało jego serce nad nieszczęściem Polski, ale jakżesz tu zostawić chorowitą Jagnę z bobaczkami, którą lada moment mogło zamęczyć na śmierć, a cóż wtedy?... a bobaczki... sierotki...

Taka to walka toczyła się w sercu Józefa, teraz jednak rozweseliła się twarz jego, bo Jagna zdawała się jeszcze do życia — tak sobie zuchowato rozumując.

Zrozumiał tę walkę i starszy karabinier — czuł on ten ból i ojcowski i synowski, więc też odezwał się po chwili:

— Nie strachaj się Józefie; kobiecie i dzieciom nie będzie krzywdy — ta drobnostka służba ojczyźnie będzie także miłą i dobrze widzianą. Widzę, żeście tu w domu potrzebny, bo i żona niedomaga i dziatka drobna, ale was gwałtem do szeregów nie

wciągamy, dość będzie od was, jeżeli nam tylko na krótki czas posłużycie za przewodnika, choćby tylko tę jedną noc, a już będziecie mogli z nami dzielić się — i Jagna — tym honorem, żeście się potrzebie przysłużyli — no, a choćbyśmy się z Moskalem spotkali, to się — da Bóg uczciwie z nim sprawimy po naszemu, tylko dobrze prowadźcie, co się choć przed świtaniem dostaniemy do obozu, to potym spokojnie możecie wrócić do kobiety i dzieci.

Gdy to wiarus mówił, Franuś ośmielony, przywabił się do tatusia, spoglądając bacznie to na tatusia, to na wojaków i ich karabiny — a przytuliwszy się do ojca, zaczął mu szeptać na ucho:

— Tatusiu, nie bójta się Moskali; ja was i mamusię i Stasię schowam do piwnicy, a porwę za siekierę, albo tę kosę, coście mi zrobili, to ich wszystkich pozabijam, albo wypędzę za Burgasów las, niech się tam potopią.

Mówiąc tak, wlazł pod wyrko i wyciągnął stamtąd małą kosę ze starego sierpa wyklepaną — osadzoną sztorcem na małym kosisku, i począł nią tak zamaszyście wywijać przed wojakami, aż go Jagna musiała pohamować w tej rycerskiej zuchowatości. Ogólny śmiech rozległ się po izbie z bohaterstwa młodego kosyniera. Jagna otarła fartuchem cisnące się jej do ócz łzy — ucałowała malca miłością prawdziwej matki-Polki, w której sercu mieści się, jak w sercu owej Jagusi z „Wesela'' Wyspiańskiego — cała, cała kochana Polska.

— To ci mi dopiero będzie wojaczek — rzekła uradowana — to dopiero będzie taniec z Moskalami, a nie boisz się ty tych wojaków!

Franuś spojrzał jeszcze z niepełnym zaufaniem

po wojakach — lecz, zlustrowawszy ich psychicznym talentem wodza — rzekł z dziecięcą brawurą:

— Mamusiu, ja się ich nie boję. —

— Czemu?

— Bo oni idą zabić Moskala.

— To ty się nie boisz Moskala?

— Nie, nie, matulu, bo Moskal nam nawskróś krzywdę robi.

— Starszy karabinier pociągnął chłopca, oglądającego ciekawie karabin do siebie i ucałował serdecznie malca w rumiany buziak.

Zagroda tymczasem, jakby zdecydowany tą dziecięcą ochoczą gotowością i odwagą — trochę zawstydzony tym wahaniem, wciągnął już kożuszkową burkę na siebie, wytrzepał rękawice i czekał.

— Ależ Józefku — zagadnęła szybko Jagna — tak mi przecież nie pójdziesz — bez wieczerzy — wybaczcie, kochani wojacy, pewnieście i wy głodni, co ja też biedna zrobię — mam ta trochę grzanek i kaszy, ale to i dla dwóch nie starczy.

— Nie turbujcie się gospodynio, nie — przerwał jej wojak — my tu mamy w sakwach i tornistrach dosyć jadła i napitku, dobrzy ludzie w Tarnogrodzie nas suto opakowali — mówiąc to, wyciągnął manierkę z tornistra i zawołał:

— Na zdrowie wam, zacna gaździno, co wydajecie takie dziarskie potomstwo. Bodaj się na kamieniu takie matki rodziły — pociągnął spory łyk i podał gaździnie.

Ta trochę wstydliwie, boć to jakoś nie wypadało tak przy chłopach prosto z flaszki — przytknęła tylko do ust i podała dalej po koleji wojakom, ci zaś

Józefowi i poszła zastawić grzanki z kaszą do wieczerzy.

Głodne dzieci przylgnęły w tej chwili do stołu, zwabione wonią wieczerzy — Józef usiadł obok, a zaprosiwszy starym polskim zwyczajem gości — na zwykłą polską odpowiedź — „racz Bóg żegnać'' — przyłożył się z apetytem do miski.

Wojacy tymczasem pozaciągali kołnierze na karki, powciągali baranice na uszy, wysuszyli połami od płaszczów, osiadłą w ciepłej izbie na zimnych lufach rosę i zabierali się powoli do drogi.

Józef wstał od stołu, przeżegnał się, otarł gębę dłonią, podjął siekierę z pod ławy i wyszedł do sieni, wypełnionej na zimę sosnowymi polankami, odgarnął je z pod ściany, podważył siekierą ruchomą dylinę podścienną i wyciągnął z pod podłogi zgrabną rusznicę — dubeltówkę, owiniętą szmatami, potym wyciągnął płócienny mieszek z prochem i kulami, od którego zwieszała się szeroka taśma drelichowa. Mieszek przewinął przez ramię, dubeltówkę obtarł rozwiniętymi szmatami, dyliny przywrócił do dawnego położenia, drewka przygarnął, poprawił zsuwającą się przy tej robocie czapkę na głowie i powrócił do izby.

— Kumotrze, tylko wam burkę i tornister — a będzie dziewiąty z was karabinier — odezwał się jeden z wojaków na widok wchodzącego Józefa.

— No, Boże dopomóż — to teraz w drogę — zawołał nadkarabinier, podając Jagnie rękę, Bóg zapłać wam gaździno za dobre słowo, nie chorujta po darmo, a wychowajta nam jeszcze z tuzin takich kosynierów, jak ten oto skierniak — mówiąc to, jeszcze raz ucałował Franusia, potym Stasię. Ścisnęło

się serce twardemu wojakowi, bo i on zostawił coś siedmioro skierniaków — akuratniuśkie takie, jak Zagrodowe.

Józef podszedł również do Jagny, żegnającej się z wojakami, podał jej rękę i ucałował ją z uściskiem miłości małżeńskiej, a z bólem w sercu, że ją taką chorą zostawia z bobaczkami.

— To dla Ojczyzny — to dla Ojczyzny — szeptał do siebie, dodając głośniej:

— Z Bogiem mi tu ostań Jaguchno, nie wychodź mi na pole (dwór), bo ci zimny wiatr szkodzi, dzieci ci przyniosą wody, drewek, czego potrza — da Bóg i Panienka święta, to tu wnetki wrócę — a gdyby się stała znowuś jaka przygoda, to tego... to wiesz... — tu go ból ścisnął za gardło, nie mógł słowa przełknąć — bo i na prawdę, cóżby jej mógł powiedzieć... — począł więc kręcić słowami.

Jagna mimowoli uchwyciła za rąbek fartucha i poczęła szybko mrugać powiekami, tłumiąc w sobie, tłoczące się do gardła, łkanie, które zamieniło się w suchotniczy kaszel. Nie w porę był ten kaszel Józefowi, schylił się do dzieci, aby je pożegnać.

Franuś ze Stasia już się tulili do kolan tatusiowi. —

— Tatulku — odezwał się trochę płaczącym tonem mały kosynier — my tu nie będziemy broić — mamusi wszystko zrobimy, a przywieźcie nam obwarzanków, a jakbyście widzieli Moskali, to zakrzyknijcie z lasa: Franusiu! — Franusiu! chodź-no tu! prędko z kosą — bo Moskale uciekną, boście sami przecie gadali, że Moskale boją się kosynierów — nieprawda tatusiu?

Na wszystkich twarzach znów się uśmiech pokazał, taki to był skierniaczek ten Franuś.

— A jużci Franuś — a jużci, że Moskale się boją kosynierów, a najwięcej takich, jak ty. — Poczekaj Franuś, my im ta już wyskórzymy, tylko mi tu bądźcie grzeczni i słuchajcie mamusi.

— No, Franuś, pocałuj tatusia, a ty nie płacz Stasiu — to tatuś wam przyniesie obwarzanków.

Zagroda ucałował dzieci, uścisnął jeszcze raz Jagnę i pośpieszył za wychodzącymi wiarusami — pchany jakąś siłą — w izbie było mu teraz jakoś duszno — coś go ściskało za gardło, chciałby już być w lesie, zagłuszyć w sobie obraz boraczków — przygłuszyć kaszel Jagny.

— Józefku, Józefku, — a dyć byłabym do krzty zapomniała, że to jutro twego patrona, św. Józefa, — zawołała Jagna — biegnąc ku sieni — nie mam ci co dać na imieniny, ale uklęknę przed świętym Józefem i będę się modliła, żebyś nam zdrowo wrócił, żeby cię ta św. Józef miał w swej opiece — weź choć tę pamiątkę, com dostała od księdza plebana przy naszym ślubie — mówiąc to odwróciła się do komina, bo jeszcze kilku wojaków pozostało w izbie, rozpięła grubą, lnianą koszulę, zdjęła medalik na czerwonej tasiemce, oporządziła się na piersiach, a zwróciwszy się do Zagrody, włożyła mu medalik św. Józefa na szyję, mówiąc:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece — Panienka Marja i ten Józef święty — takie moje powinszowanie dla ciebie na jutro, a wracajże nam zdrowo i jeszcze raz przytuliła się opiekuńczej piersi. Józef ucałował żonę po raz ostatni i wypalił z izby, jakby go kto wyrzucił.

Ciężko mu było na sercu, bo ciężko.

Sześć lat temu, jak się pobrali, Jaguś była najpoczciwszą i najkraśniejszą dziewoją we wsi. On przyszedł z cesarskiego po służbie wojskowej — chłop smukły, jak jodła — zobaczyli się, pokochali i pobrali. Jagna była miłą dziewuchą i jeszcze milszą żoną — jak sarenka — kochał ci ją Józef, bo kochał. I któżby nie kochał takiej przylepki, jak Jagna? Bywało, rozgniewasz się, wpadniesz w zły humor, to ci Jagna, nie jak inne, przyskoczą do ślepi z pazurkami i zawarczą złośliwym jęzorem — ale przylepi się, obejmie za szyję, popatrzy ci w oczy filuternie i zaszczebiocze, jak ptaszek — nie gniewaj się Józefku, ja ci się już nigdy a nigdy nie sprzeciwię, tylko się nie gniewaj, a popatrz dobrym okiem na mnie. — No, popatrz Józefku!

— A gdybyś człecze jeszcze niby to udawał jeszcze surową minę i gniew i chciał coś powiedzieć, to ci zamknie gębę swym koralowym ciepłym buziakiem i zrób tu z taką przylepką — takie ci to słabe niby to — a takie mocne, że się największego chłopa we złości nie boi.

Nie długo cieszył się z tą chyżą i miłą — jak sarenka — Jagienką, bo już przy drugim zlegnięciu zapadła na suchoty, które w ostatnich czasach zniszczyły Jagnie młodość, rzeźkość i piękność — ale dobroci serca nie potrafiły zgnębić — Jagna została zawsze tym dobrym aniołem dla Józka — a teraz jeszcze lepszym, jeszcze milszym im niespokojniej rozglądał się Józef za jakimś widziadłem, za jakimś upiorem, jakie z każdego kąta czyhało na Jagnę, którą dopiero zo zostawił z bobaczkami.

Był ci też to skarb, skarb z tą Jagną, boć to samo

gadał wojak, a cóż ją ta widział, ledwo chwileczkę, a już się poznał na tym skarbie.

Na to wspomnienie połechtało coś Zagrodę koło serca, ale i zabolało, że ten skarb opuścił taki biedny, taki schorzały — a przecież jej nieboraczka matka też się tak na krześle zakaszlała na śmierć — czyżby i z Jagną tak miało być? Boże! Boże! zlituj się nade mną i zostaw jeszcze to biedactwo — niech ta i chorowite, byle tylko ostawić.

Józefowi pociemniało w oczach, chwycił się ręką za skronie, bo czaszka chciała mu się rozlecieć w czerepy — wyjący wiatr wstrzymywał mu ciężki oddech, rusznicą przygniatał piersi, jakby chciał zdusić tego mola na sercu, jakby chciał zamorzyć to majaczące widmo jakiegoś nieuchwytnego, nie dającego się wytłómaczyć, określić nieszczęścia. Tak sobie tylko Zagroda zasłaniał oczy przed tym nieszczęściem, aby, niby nie znając go, nie zastanawiając się nad nim, pozbyć się go — oddalić, odpędzić je daleko, daleko, byle się tylko koło Jagny nie kręciło — a przecież ta jej nieboszczka matka — to też tak...

Jeszcze raz przydusił piersi rękoma w okolicy serca, szepcąc: — To dla ciebie, miła ojczyzno, to dla ciebie. — Boże, jakie to chorowite biedactwo, a jednak mówiła, jakiby to był dla niej honor, żeby ja tak był dzielnym wojakiem.

Żeby sobie choć nie pomyślała, że ja to tak pewnikiem z niedbalstwa chciałem się ostać w domu, oj, kochanie, kochanie! — i mnie wyje serce z bólu nad niedolą ojczyzny, i jabym się stargał w strzępy, gdybym wiedział, że nimi będzie można zagoić rany nieszczęśliwej matki naszej — oj Jagusiu, Jagu-

siu, nie z grzesznego to lenistwa, ani Boże zachowaj, tchórzostwa, ale dla ciebie Jaguchno, dla ciebie, bo kiejbyś była zdrową — jak to ongi... z jakie dwa roki po ślubie — coś to jedną pięścią wygrzmociła Gracowego Kaspra, że się raz chciał na Chwatkowym weselu brać do twej gęby, aże się zarył pod ławę, jak szczewąga w trawie, ej toby ta co innego! Ale z ciebie teraz takie mizerątko — palcem ruszyć, to po tobie, no, jeszcze te skamroczki jej ta co pomogą, byle Bartkowa stara przyszła — Boże im ta dopomóż!

Kto wie, jak długo byłby Józef rozmyślał, gdyby mu nie przeszkadzał karabin.

— A daleko to do tej Dębiny, Józefie?

— Co powiadacie, panie wojaku?

— Toć mię ta nie nazywaj „panie wojaku", kiedyśmy wszyscy swoi, synowie jednej matki — nazywam się Wojciech Opieła — nazywaj mię Wojtkiem — to mi milej. A zatym jak daleko?

— O, będzie jeszcze z jakie 30 wiorst.

— Oj, to się nie dociągniemy prędzej, jak kiedy na piątą.

Szli parami w milczeniu zasypaną drogą ku Zakręciu wśród potężnych buków, trzeszczących i kwilących konarami od rozszalałego wichru.

W lesie huczało barytonowym tonem, to znów, jakby jakieś odległe ryki tysiąca syren, wołającego o ratunek tonącego okrętu na rozhukanym oceanie. Puszczyki nocne pochowały się gdzieś w dziupłach, jakby czuły płonność swego złowrogiego krzyku wobec silniejszej natury, rozhulałej po lesie wrzaskiem, piskiem i rykiem. Naprawdę, że taki dziwny koncert leśny, wśród oszalałej śnieżycy ma w sobie coś okropnego, coś złowrogiego, niosącego śmierć.

Człowieka zaś dławi za krtań — mimowoli pytasz — czy to nie ostatnia noc dla ciebie. Rzekłbyś, że to jakiś piekielny korowód szaleje i pędzi koło ciebie, czujesz, że w tym zapędzie i ciebie porwie w te tany — mimowoli uchylasz się to pod złom jakiejś skały — to w objęcia potężnego drzewa,by się zasłonić przed tym szatańskim rozpędem, bo szatan wtedy ludziom myli drogę, a czasem znużonych, uwiedzionych koi do wiecznego snu, przygrywając im czarownymi tony, posypując z lekka ich białe twarze zimnym, śnieżystym puchem — coraz więcej, coraz wyżej — aż ukryje przed srebrnym blaskiem księżyca, przesłaniającego się z poza wichrem tłoczonych chmur — nie chcąc, by ich raził w wiecznie senne już powieki. tak czyni też i dobrotliwy anioł śmierci. — tylko o wiele łagodniej.

— Jagna otulona czerwoną chustą wełnianą, stała jeszcze w sieni, dopóki tuman śnieżny nie zasłonił ciemnych sylwetek oddalających się i niknących w ciemnym borze. Potym zatrzasnęła drzwi i zaryglowała, a wróciwszy do ciepłej izby upadła na kolana przed obrazem Przenajświętszej Rodziny, pociągnęła za sobą dzieci, by to samo czyniły, a zakrywszy fartuchem twarz, puściła wodze, tłumionym dla dodania odwagi Józefowi, serdecznym łzom.

— O, mój Jezusieńku Nazareński — krztusiła przez łzy — powróć mi jeszcze mojego ukochanego Józefka. Ty mi go przecie nie zabierzesz; trzymaj go w swojej świętej opiece — a Ty Panienko z Józefem, dopomóżcie, dopomóżcie, bo mię tu tak coś koło serca boli, jakbym to Józefku po raz ostatni cię widzieć miała. O wy, moje robaczki, tuliła dzieci — wy moje sierotki! — Boże! czemu ja was nazywam sierotkami? przecież macie ojca, matkę — tak mi się nie-

chcący wyrzekło i zaczęła tulić i całować bobraczki, które na widok płaczącej matki, również zawtórowały swym piskliwym szlochaniem, tuląc główki do piersi matczynej.

— Boże! Boże! przyjmij ten ból dla nieszczęśliwej ojczyzny — choć tyle Jezusieńku, kiedy więcej nie można — szeptała Jagna, uspokajając zanoszące się od płaczu skamroczki.

Po chwili wstała, przeżegnała się krzyżem św., ukoiła dzieci do spania, a było im dziś lepiej — bo już same na wyrku nie spały, tylko pod skrzydłami opiekuńczej miłości macierzyńskiej.

Już była dziesiąta — wicher wył po swojemu w borze, tylko księżyc przedzierał się teraz częściej przez rozstrzępione wiatrem chmury, oświecając jaśniej zabielony świat.

— Co zima, to zima — przerwał milczenie jeden z wojaków — zdawało się, że to wiosna do nas zawita na dobre, a tu zimeczka nie zapakowała jeszcze wszystkich swoich manatków.

— Powiadają — wtrącił drugi — że święty Józef łaskawy, ciągnie z sobą wózek trawy — ale i on widać gdzieś ugrzązł z wózkiem w śniegu, bo mu na jutrzejszy dzień zima piosnkę nuci.

— Bylebyśmy tylko choć na rano dostali się do obozu — zagadnął Wojciec Opieła — usiłujący gwałtem zapalić sobie fajeczkę — to zresztą niech tam zima tańcuje, bo wtedy i niedźwiedzia będzie łatwiej znienacka zaskoczyć w leżysku.

— Brr. trzeba zagrzać gardło — uct! ostra! — łyknij Józku, bo ci jakoś podniebienie zamarzło, nic nie gadasz — na, odtaj dziub — mówiąc to, trącił Opieła Józefa i podał mu manierkę. Na taką komen-

dę ręce wszystkich utonęły gdzieś w tornistrach, każdy darł za łeb manierkę — aż kwiczało po szkle — po chwili wiatr urwał kilkakrotne mlaśnięcie z wyrazami zadowolenia — aaach!

. . . .

Po wzięciu do niewoli Lewandowskiego, ucierały się w Lubelskiem tu i ówdzie jeszcze drobne oddziały partyzanckie Czerwińskiego, Lelewela, Krysińskiego i wielu innych, lecz bez większego znaczenia. Dopiero za staraniem ks. Sapiehy zrekrutowano większy oddział pod wodzą Leona Czechowskiego, starego pułkownika z r. 1831, który wyruszył z początkiem marca na czele 50 jazdy, jednej kompanji kosynierów, jednej karabinierów i dwuch kompanji uzbrojonych z sztućcery i bagnety — razem licząc do 600 chłopa.

Oddział ten prześliznął się przez granicę z Galicji od Sieniawy do Luchowa i dotarł 15 marca do Tarnogrodu. Tam serdecznie przyjęty i suto ugoszczoiny, ruszył powolnym marszem ku Potokowi, skąd Czechowski wysłał podjazdy ku Krzeszewowi celem zebrania furażu i ściągnienia jakiego takiego funduszu — sam zaś ukrył się w potockich lasach, trzymając się blisko kordonów austrjackich, aby w razie niepomyślnym można się było schronić za granice do Galicji. Była to kardynalna wada prawie wszystkich dowódców powstańczych, którzy po większej części byli werbowani przez nieudolny Rząd narodowy z samych zawadjaków, awanturników, często z ciemną przeszłością — ludzi często tchórzem podszytych, walczących nie z dobrej woli — dla idei narodowej, ale ot, jak najemnicy — aby znaleźć w

wykolejonym swym losie jakieś zajęcie, pchając naprzód mizerną taczkę swej niepewnej egzystencji.

Zdaje się, że i Czechowskiemu nie wiele chodziło o całkowite poświęcenie się ojczyźnie, skoro za przykładem takich najemników, zamiast rzucić się w głąb Królestwa, walczyć do upadłego, trzymał się granicy, aby za nią, jak za chińskim murem w razie pechu szukać ocalenia.

Takie nieokreślone, bezcelowe włóczenie się między Tarnogrodem a Krzeczowem nie pozostało bez echa, które się obiło aż o Janów.

W Janowie stał z załogą rosyjską pułkownik Miedników, ten sam, który rozbił Zdanowicza i Frankowskiego pod Sandomierzem.

Wieści o oddziale Czechowskiego pchane z ust do ust pomnożyły siły jego do 30,000 w oczach Moskali. Skutkiem kręcenia się między Tarnogrodem a Krzeczowem, jakoteż skutkiem wysłania owej jazdy do Krzeczowa, pobałamucił się sam Miednikow co do sił partyzanckich, jakkolwiek w 30,000 absolutnie nie chciał wierzyć, przypuszczał jednak, że powstańcy rozgrupowali się na dwa wielkie oddziały, z których jeden wtargnął do Królestwa ku Tarnogrodowi, drugi zaś od Rudnika ku Krzeszowu.

Dla zaskoczenia tym dwom rzekomym kolumnom pchnął Miednikow jeden oddział 300 głów liczący, pod wodzą kapitana Zawackiego z rozkazem maszerowania przez Hutę Krzeszowską, Charasinki ku Krzeszewowi, drugi zaś oddział podobnie silny, pod majorem Sternbergiem ku Tarnogrodowi.

Bałamutne jednak wieści, wciąż drażniące tchórzliwe ucho moskiewskie o nowych zastępach powstańczych, pojawiających się w okolicy Krzeszo-

wa, zdziałały tyle na Mijlukowie, że dostał „zimnych nóżek'' i tak go zaniepokoiły, że sam na czele jednej kompanji strzelców, jednego plutonu ułanów i około 50 kozaków ruszył forsownym marszem za pierwszymi, by w razie potrzeby śpieszyć z pomocą jużto Sternbergowi — już to Zawadzkiemu.

Czechowski zaś tymczasem siedział sobie spokojnie w potockich lasach, nie przeczuwając, że mu troje nierogacizny w kaszę lezie.

Był to drugi błąd Czechowskiego, bo zamiast rozsyłać rekonesanse na wywiady o nieprzyjacielu, zdobył się tylko po „bohatersku'' na wysłanie jednego patrolu ku austrjackim kordonom z pewnością nie dla czego innego — tylko celem wywąchania pożądnej i wygodnej drogi do „zagranicy'' przed Moskalami, skąd im mógł pokazać na palcu „wielką figę.''

Ten to właśnie mały patrol, zbłądzony w zawiei śnieżnej spotkaliśmy w chatce Zagrody.

Czechowski, jakby przeczuwają bliskie spotkanie się z nieprzyjacielem, zwinął obóz i posunął w głąb lasów ku Jedlinkom, pozostawiając w Dębinie silniejszy patrol, który im wytłómaczył zamiary Czechowskiego.

— I cóż tu będziemy robili? do stu kaduków! — wrzasnął zziębnięty zniecierpliwiony Opieła — trąc dłonie dla rozgrzania nad ogniskiem i tupiąc nogami — czy na tośmy tu przyszli, aby bezczynnie marnieć po lasach?

— Dowódca kazał nam wytrzymać cały dzień i noc przeczekać na was — odrzekł komendant oddziału — a jutro o świcie ruszyć ku Lipinom, a w Lipinach otrzymamy dalsze rozkazy, albo się z nimi złą-

czymy, albo też nam przydzieli nieco sztucerników i kawalerji — będziemy się posuwali bokiem ku Jedlinkom, jako lewy flank — bo tu gdzieś już musi śmierdzieć Moskalami — przecież Moskale znów takby dalece nie zbaranieli, aby na takie nasze łażenie nie dowiedzieli się o nas.

— Jużby też był czas zagrzać się na psubratach — przerwał Opieła — inaczej to tu nędznie zmarniejemy. Czemu to do krocset wideł nie ruszyć dalej i nie poszukać Moskala, tylko czekać, aż nas Moskal drzemiących przydybie i wydusi, jak pies kwiczoły, my już powinniśmy dawno oczyścić sobie buty z tego marcowego błota na kacapskich brodach. Mnie się ta cała robota wcale nie widzi, ty Józef pewnie także lepiej zrobisz, jeśli wrócisz do domu kiedy my tu sami nie mamy co robić — zwrócił się Wojciech zniecierpliwiony do Zagrody.

— A to co za jeden? — spytał się podkomendny oddziału — Wieruszycki.

— To nasz — odrzekł Opieła — bylibyśmy na śmierć zamarzli, gdyby nie ten wiarus, który nam był przewodnikiem wśród tej piekielnej zawieruchy.

— No i jakoż Józef, wracasz?

— A czy to ja nie z polskiej krwi i kości, aby was tu ostawiać — a samemu grzać się na przypiecku — odrzekł nieco urażony Józef, któremu właśnie przyszły na myśl słowa Jagny — „gdyby ja tak była chłopem, to mnie nic a nic nie utrzymałoby w domu'' — patrzcie no—pomyślał sobie Zagroda—taka słaba mucha, a tak się rwie w niej serce, a czy to ja mam być gorszy od niej?

— Ostanę się — krzyknął dobitniej, jeszcze więcej rozsierdzony, aż wszyscy spoglądnęli na niego —

pójdziem prać Moskala, co się zmieści. Jagna sobie ta da radę. Do kogo będę należał? przecież sam nie będę łaził po lesie jak borsuk.

— Znam tę okolicę jak moją dłoń, to się wam też na coś przydam — a jeśli się Moskal nawinie — to się go i ośrubować potrafi — niechby jeno przyszedł.

— Ja myślę — wtrącił Wieruszycki — że tymczasem pozostań z Opiełą — on cię przedstawi panu Czechowskiemu — może cię sam zostawi przy sobie za przewodnika, albo przeznaczy do jakiego oddziału — a cóż ty Józefie powiesz na to, czy tu nie ma w pobliżu gdzie Moskali?

— Hm, są i niema — odrzekł Zagroda z namysłem. — Jak ich poszukamy, to się znajdą, a jak będziemy wylegiwać się po wertepach — to ich pewno nie będzie.

— A cóż ty myślisz, co robić?

— Jeśli nie pogardzicie moją radą — panowie wojacy, tobym się ruszył ku Lipinom, ku Gordonowi — a może tam jacy wciornaści się kręcą. Do Janowa niedaleko, to pewnikiem Moskal nie śpi, a ja wiem takie ścieżki, że sam djabeł by się na nich zgłupiał, kędy droga do piekła — to my ta już wywąchamy tych kapaców, aby im grzbiety napaprykować.

— Dobrze radzi — przerwał Opieła — coś ty mi tak Józku zezuchowaciał, dobry z ciebie chwat. Możeby nie zaszkodziło wyglądnąć trochę na świat z tych lasów, bo mnie już poczyna grzbiet porastać sierścią, jak jaźwcowi, tak się człek zakopał w te lasy.

— Czy dowódca nie zostawił dla mnie jakich szczególniejszych rozkazów?

— Szczególniejszego nic, mówił, że się możemy rozpuścić w tyralierkę, byle się od niego niedaleko trzymać — aż nam jutro nadeśle dalsze zlecenia — to też podzielać wasze rozkazy, aby się jutro drzeć ku Lipinom.

— Dobrze! ja idę z moimi — rzekł stanowczo Opieła — Dziś odpoczniemy, a jutro przed świtem w drogę — Józku ze mną pójdziesz i pokażesz nam te twoje ścieżki, na których podobno djabeł swe młode pognębił — czy tam jakoś.

Roześmiała się wiara i rozłożyła koło ogniska, jedni zagryzając wędlinę, drudzy popijając, inni kurząc fajki, niektórzy zaś drzemali lub dobrze spali. —

Nazajutz przed świtem ruszyli karabinierzy ku Lipinom. Dzień był posępny, cieplejszy, choć mokry, ale cichy. Djabeł się wczoraj wyszalał, dziś zwinął kudłaty łeb w pazury i drzemał gdzieś w niedostępnych topieliskach, gdzie latem lśnią białością swych smukłych ciał — Rusałki, kusząc zbłąkanego do grzechu...

Las się trochę przyciemnił z wczorajszego pyłu śnieżnego. Otrzepane zawieruchą liście szpilkowe zarysowały ostrzej wygląd kniei i horyzontu.

Szli leszczyną wzdłuż potoku, którego kręta wstęga już zaczynała się obramowywać zielonawym rąbkiem, zarysowującym linję pod wiośniane żółte kaczenice i niebieskie niezapominajki, których tutaj rosło latem i zimą bez liku.

Takie zielonawe potoki wśród moczarów nie zakuła żadna zima w swe okowy — nazywają je zdra-

dzieckimi oparzeliskami. — Bo też biada, kto się skusił wiosną na bukiet kaczeńców lub niezapominajek. Były mu one prawdziwym grobem kwiecistym.

Wśród takich to oparzelisk i wądołów prowadził śmiało Zagroda gromadkę powstańców. Posuwali się ku lipińskim wyżynom, weseli, rzetelni, z buńczuczną miną, zadartym nosem.

Józef radził, aby się dostać ku stokom lipińskim, spadającym w stronę gordowskich i biszczowskich lasów. Z tych to wyżyn roztacza się dalszy widok ku północy, skąd łatwo będzie przewąchać psubratów kacapów.

Nie zawiodło ich przeczucie, gdyż o tym samym czasie ciągnął kapitan Zawadzki od Harasinek ze swym oddziałem.

Czerwona, ognista zorza zachodzącego słońca roztaczała się olbrzymim rogalem hen, gdzieś ponad Nową Wsią, przyoblekając siny horyzont w purpury i fiolety. Zdawało się, że to ogromna pożoga objęła lasy i tłoczy się ku zachodowi, niszcząc po drodze olbrzymim szmatem, a dokonawszy swego, niknie w dali, pozostawiając po sobie tylko usypiające się nad okolicą w wieczornej ciszy, sine smugi dymu. —

— Józef powracał właśnie z gordowskich lasów śpiesznym — ba nawet bardzo śpiesznym krokiem, ledwo tchu mu starczyło. Dopadł do obozowiska rozłożonego w skalnych złomach pod ogromnymi jodłami, ponad którymi wiła się falista wstęga białego dymu z ogniska małego obozu.

— Ogień zgasić! dym widać daleko! — Moskale już w Harasinkach!

Na te słowa zakotłowało się w obozie, jakbyś dymiący patyk wetknął w surowisko.

— Jak? — co? — gdzie? — posypały się pytania.

Józef odsapnął i rozpoczął.

— Dociągnęłem aż poza gordowskie lasy, tam, gdzie nazywają na Zrębiu — a tu spotykam trzech rębaczy uciekających, jednego nawet znam. Nazywa się Antek Wałęczny. Zobaczyli mnie na skraju lasu i wołają: — Na Boga, uciekaj kto żyw — kupa Moskali tam w lesie pod Harasinkami!

— Gdzie? — pytam.

— A tam, z jakie dwie wiorsty za Zrębiem.

— Ilu? — pytam.

— Pewnie setki, tysiące, kozacy, piechury — wszystko — a może i car z nimi.

— Boże święty ratuj. Panienko Częstochowska — zawołał Wałęczny i pobiegł w las za innymi.

— Nie chciałem temu dać wiary, a tym więcej, aby się jego carska mość tak raczyła fatygować po naszych moczarach — postanowiłem przekonać się naocznie, boć przecie nie taki znów djabeł, jak go malują. Przeżegnawszy się więc krzyżem świętym, ruszyłem znanymi manowcami ku Harasinkom.

Za pół godziny doszedłem ku gąszczom na wzgórku obok Zrębia i na Boga, wiecie co zobaczyłem? — chmarę Moskali kręcących się to po dolinie, to wśród lasu, ale ilu ich tam było, nie mogę powiedzieć, bo co który wylazł na skraj lasu — to drugi zniknął w lesie. W głębi lasu nie mogłem dobrze dojrzeć, bo się już zmierzchało.

— Ale czyś ty tylko pewny, że to Moskale —

być może, że to nasi z panem Czechowskim tak daleko już obeszli.

— Jak mi Boga będzie potrzeba przy śmierci! Moskale! — co? jabym tych kacapów nie poznał? mam jeszcze chwatkie oko, a kozaków poznam lepiej jak moje szarawary, nie byłem od nich dalej jak do tego buka, już nawet śmierdzieć mi zaczęli — mogłeś im porachować wszystkie wszy, co najlepszym znakiem, że wiosna na karku.

Wojacy się roześmieli z dowcipu Zagrody.

— Co robić?

— Ogień zgasić!

— Broń do ręki! — krzyknął Opiela, najstarszy patrolu. — Werpalski i Hradaszcz w te tropy do Wieszczyńskiego, musi tu już być gdzieś niedaleko, zameldować mu wszystko, coście słyszeli o Moskalach — niech uwiadomi dowódzcę — my zaś reszta do drogi, musimy dziś jeszcze zwęszyć, co psubraty żarły na wieczerzę.

Zaledwie co wyrzekł te słowa, gdy na skręcie drogi o jaką wiorstę zamajaczyły się na wzgórku, w blasku zachodzącej zorzy na białym tle postacie oddziału Wieszczyńskiego.

Werpalski z Hradaszczem pobiegli co żywo do oddziału z meldunkiem.

Ruch zrobił się wśród kompanji. Na szczęście Wieszczyński już się był zetknął w drodze ze silniejszym oddziałem, wysłanym na zwiady pod wodzą majora Wł. Englerta, który dopiero co wyruszył z obozu Czechowskiego. To też w chwili wysłania dalej wedety do majora z wieściami o Moskalach. Euglert sformowawszy logicznie meldunek, pchnął kilku ułanów z nim do Czechowskiego, sam zaś po-

łączył z sobą drobne oddziały Opieły i Wieszczyńskiego i rozlokował się na wzgórzu wśród leszczynowego gąszcza w stronę ku Gordowi Lipińskiemu — mając z tego strategicznego punktu baczne oko na nieprzyjaciela.

Wysłanie wywiadowczego patrolu nie miało potrzeby — bo w nocy i tak nie można było wybadać nieprzyjaciela, a wreszcie nie łatwo było o lepszy punkt strategiczny — niż ten, który właśnie dopiero co zajęli. Tu postanowili czekać do rana zachowując wszelkie środki ostrożności.

Józef Zagroda został przedstawiony majorowi, który go po wybadaniu zatwierdził na przewodnika oddziału, tymczasowo przyłączając go do roty Opiełowej, tworzącej teraz na wzgórzu z rotą Wieszczyńskiego prawe skrzydło, a raczej tymczasowo prawe wedety obozu.

— Z brzaskiem słońca wyłoniło się z lasu czoło kolumny Zawadzkiego, który pchał oddział w gardło ukrytych w zaroślach powstańców, składających się z wyborowych strzelców.

Sute libacje ostatniej nocy zaciemniły widocznie cienki mózg Zawadzkiego, kiedy zapomniał o najzwyklejszych obowiązkach strategicznej wiedzy choćby najgłupszego frajtra pruskiego, aby przecież maszerując przez takie leśne zakryte tereny, osłonić główną kolumnę przednimi strażami i bocznymi flankami. Przypłacił też Zawadzki grubo ten moskiewski błąd, bo gdy jego kolumna znalazła się na linji dobrego strzału, powitali go powstańcy straszliwym ogniem.

Głuchy trzask celnych strzałów rozległ się kilkakrotnych echem po wzgórzach i lasach. Obsypa-

ny gradem kul front Zawadzkiego w tej chwili się zachwiał, przyprowadzając Zawadzkiego do uprzytomnienia sobie, że tak polskiemu rysiowi nie chcący nastąpił na ogon. Rozpoczęła się teraz wzajemna strzelanina — tylko, że w bardzo niepomyślnych dla nieprzyjaciela warunkach.

Józef stał na prawym skrzydle tuż nad skrajem lasu przy przecięciu małej dolinki. Widząc, że wystawione fronty nieprzyjacielskie aż nadto celnie ostrzeliwane przez środkową kolumnę, poradził Opiech przedostać się przez dolinkę na boczne wzgórze, skręcające się grzbietem pod ostrym kątem w stronę nieprzyjaciela, skąd można było kropić, jeśli już nie boki, środka nieprzyjaciela, to przynajmniej przeszkadzać rozwijaniu się ich lewego skrzydła. Takie chlastanie boków rosyjskich, mogło bardzo łatwo skonfundować i tak już przerażonego nieprzyjaciela i zmusić go do zwinięcia lewego skrzydła przed rzekomym otoczeniem go i zajściem mu z tyłów.

Chwacki to był pomysł, więc też się w tej chwili wszystkim spodobał, a to tym więcej, że dotychczas nie mogli sobie jeszcze poigrać z Moskalem, zasłonięci gąszczem, oddaleni od środka, który jedyny tylko miał sposobność do śmiertelnej zabawki z nieprzyjacielem.

Przedostanie się karabinierów na owo wzgórze było dziełem jednej chwili.

Wiarusy usadowili się w kępach jeżynowych, które tworzyły jakby jakie niskie półkopki o podłożysku śnieżnym, jaki się tu przez zimę nagromadził. Teraz rozpoczęła się ognista palba w boki środkowej kolumny, która się dopiero teraz zaczęła od-

czepiać w lewy flank. Takie szorstkie pogłaskanie z boku istotnie wywołało zamęt wśród Moskali, będących w tym mniemaniu, że ich powstańcy otaczają pierścieniem.

Byłoby wszystko poszło, jak z płatka, bo już okrwawiony Zawadzki wydał rozkaz zwinięcia niedoszłych flanków i cofnięcia się, widząc wielkie straty w szeregach, gdy w tym dowodzący lewym skrzydłem rosyjskim, porucznik Obornikow zoczył białe dymki na wzgórzu wśród kęp jeżynowych — i zanim zwinął swój flank, zakomenderował jeszcze krótki rotowy ogień w stronę karabinierów — kule zaryły się w ubitym wśród krzewów śniegu, roznosząc go tumanem dokoła, jakby plewy z pośród ziarna rzuconego szuflą na gumnisku — równocześnie ktoś na boku, u szczytu wzgórza wydał przytłumiony wśród echa rozlegającego się grzmotu strzałów krzyk:

— Jezus, Marja, Józefie święty!

— Był to Zagroda, ugodzony śmiertelnie dwoma kulami w piersi. Rusznica wypadła mu z dłoni, rozciągnął się na wznak z oczyma ku niebu i zaczął szeptać:

— Za Ojczyznę, za Ojczyznę, Jezusieńku!...

— Bywaj mi z Bogiem Jaguśko... — bywajcie mi robaczki, biedne sierotki... — Boże!... Boże! św. Józefie z Panienką przybądźcie mi ku pomocy!

Na widok upadającego Józefa, doskoczył niedaleko przykucnięty Opieła, przyklęknął przy rannym, i podtrzymał mu głowę, chcąc wlać trochę wódki w usta Zagrody. Umierający odmówił kiwnięciem głowy, bo już krztusił czerwoną ślinistą pianę.

Spojrzał mglistym, gasnącym wzrokiem na towarzysza i wykrztusił cicho:

— Ja-gna, robaczki — sie— rotki, — za — Oj — oj— czy — — —

i skonał.

....

W chatce Zagrody wstała właśnie Jagna — jakaś dzisiaj więcej posmutniała, a rozłożywszy ogień na kominku, zajęła się struganiem ziemniaków na śniadanie dla siebie i dla śpiących jeszcze boraczków, dośpiewują kaszlącym głosem ostatnie zwrotki pieśni do św. Józefa:

„Przeto cię upraszam serdecznie,
„Józefie święty, bym bezpiecznie
„Mógł mieć zgon i lekkie skonanie
„I grzechów moich skasowanie,
Przy śmierci.

„Gdy mi zaś przyjdzie przed sędziego
„Stawić się wielce straszliwego,
„Bądź-że mi Józefie przy sądzie,
„Kiedy mię Bóg sądzić zasiądzie,
Patronem!

„Odpędzaj precz nieprzyjaciela,
„Duszy mej spraw oskarżyciela,
„Kiedy mnie skarżyć, prześladować
„Będzie chciał, chciejże mnie ratować,
O święty!

„Józefie! oddal czarta złego,
„A Boga mnie zagniewanego
„Przejednaj, o co cię serdecznie
„Upraszam, bym mógł z tobą wiecznie
Królować.”

Skończywszy mimowoli zapłakała Jagna za utęsknionym Józefem, który jakoś nie wracał.

. . . .

Między małą garstką poległych zwycięskich powstańców, znajdował się także major Wł. Euglert.

Zawadzki pobity cofnął się do Harasinek, gdzie się połączył z nadciągającym właśnie Miednikowem.

Czechowski zaś usunął się w las ku Jedlinkom, osłonięty z prawej strony rzeką Tanwią, popełniając znów trudny do wybaczenia błąd, nie zburzywszy mostu na rzece.

Z tej strony nadciągnął Zawadzki z Miednikowem, a po rozbiciu patrolu powstańczego na moście, wsiadł na karki partyzantów. Wprawdzie — powstańcy, nawet odparli nieprzyjaciela aż pod Gord Lipiński, unoszącego z sobą rannego Miednikowa, tam jednakże w porę zjawił się Sternberg — i tak trzema kolumnami przyciśnięto Czechowskiego, który się już był cofał ku granicy austrjackiej celem schronienia się do swej Kapuy galicyjskiej.
ści dokazywała tam wiara powstańcza. Z pieśnią „Z

Otoczono go jednak w lesie Ciośmińskim i rozbito w puch u Huty brzeszowskiej. Cudów waleczności dokazywała tam wiara powstańcza. Z pieśnią „Z dymem pożarów" — „Jeszcze Polska nie zginęła" — na ustach rzucali się wiarusy niewywczasowani i zgłodniali na grady kul i rzędy bagnetów, przemoc nieprzyjaciela jednak i nędza powstańców, a nieudolność stchórzonego wodza, wykopały grób dla bohaterów w ciośmińskim lesie.

„Oj szumi bór Ciośmiński,
„Oj płaczą krzewy, drzewa,

„O doli naszej braci,
„Wśród cienia ptaszę śpiewa.
„Zaświeci słonko latem,
„Rozkwitnie wśród zieleni,
„Jeżyna i malina,
„Jagódka zaczerwieni.
„Zaszumiał zefir w lesie,
„Pogłaskał brzozy liście,
„Osuszył jej płaczące
„Od rosy łzawe kiście.
„A czemuż to jagódko
„Tak krwawo się rumienisz?
„Czemu to smutna brzózko
„Tak gorzkie łezki ronisz?
„Z purpury szatki moje
„Czemuby nie skrwawiona
„Gdy gleba, kędy rosnę,
„Krwią polską przesiąkniona.
„Oj płaczę i łzy ronię,
„Już temu roków siła,
„Podemną polskie prochy,
„Ich cmentarz i mogiła.
„Gdy znów słonko zaświeci,
„Zakrwawi się malina,
„Zakwili ptaszę w lesie,
„I znów zapłacze brzezina —
„Oj druhy, coście życie
„I krew oddali laszą.
„Wyproście tam u Boga,
„Oj — wolną Polskę naszą.

. . . .

Czechowski z garstką partyzantów umknął do Galicji, pozostawiając po sobie haniebną pamiątkę

swej nieudolności, złej woli i braku szczerego zamiaru walczenia za Ojczyznę.

Wśród ogólnego zamieszania i rozsypki oddziału udało się jednak Opielc przedostać się w lasy do chatki Zagrody.

Jagna, której się nad wieczorem pogorszyło, położyła się do łóżka. Kaszel stawał się coraz dokuczliwszym, coraz częściej przychodziło osłabienie.

Nagły przeskok zmiennej temperatury marcowej przyczyniał się do pogorszenia choroby. Właśnie co pod wieczór miała wysłać dzieci po Betkową — gdy w tym wpada Opieła i opowiada jej urywkowo o zajściu na wzgórku w kępach jeżynowych, przynosząc jej i sierotom ostatnie pożegnanie zmarłego.

Aby zaś swoją obecnością nie spowodować podejrzenia i aby nie ściągnąć na dom biednej wdowy straszliwej zemsty dzikiej hordy moskiewskiej, których bohaterstwo objawiało się dopiero po zwycięstwie w tatarski sposób na dzieciach, starcach i kobietach — umknął co prędzej do lasu.

Jagna skamieniała. W oczach się jej zaćmiło. Upadła na łóżko, bo co dopiero się podniosła z wejściem wojaka do izby.

Po chwili ocknęła się i uczuła jakieś dziwne, złowrogi, ulżenie na piersiach. W tej chwili padł jej wzrok na skrwawioną koszulę, rękawy i pierzynę.... Błędne kółka zatoczyły się jej przed oczyma. Pod rękami uczuła dwie główki robaczków, cisnące się do pierzyny. Doleciał ją słuch jakiejś cichej, harmonijnej muzyki wśród śpiewu.

— Mamo! mamo! matulu! — tu krew, kto was okaleczył, mamusiu? — pewnie ten wojak, mamuniu,

to on też tatka porwał. — Obudź się mamo, czy śpisz matulu? — bo tu krew.

Jagnie jeszcze raz oczy przebiegły po rzeczywistości na wspomnienie krwi — lekko przygarnęła dzieci do siebie — szepcąc ledwo dosłyszalnym głosem umierającej:

— Panienko Leżajska, bądź im matką!

— Jezusie Nazareński zabierz te sierotki!...

Długo w noc płakały sierotki, nie mogąc się dobudzić matuli z twardego... snu... Nie wiedziały niebożęta, że z takiego snu tylko Bóg nas kiedyś obudzić może. Zmęczenie fizyczne wzięło górę. Pospały się robaczki obok matuli, powołanej już do wieczności. —

— Oj, biedne wy sierotki i któż wam teraz zastąpi tatula i mamulkę? — Kto nakarmi? Kto przytuli do macierzyńskiej piersi?

Pod jakież skrzydło się wtulicie? Ptaszęta mają swoją matkę, a wy? — biedne same! — tylko same pisklęta.

Boże, Boże! któż zdoła zmierzyć tajemnice Twej Opatrzności!

Była już 3-cia nad ranem.

Franuś obudził się pierwszy, a zobaczywszy przy bladym kagańcu krwią powalane ręce i pierzynę, zaczął płakać i tym zbudził Stasię, która się była przycisnęła do zimnej, już ich nigdy nie mającej ich już nigdy więcej przytulić piersi macierzyńskiej.

— Mamusiu! — mamusiu! wstańcie! — ja się tak boję okropnie!

Ale matula nie wstała...

Coś zaszumiało na dworze — dzieci ucichły wystraszone.

— Nie bój się Stasienko — szepnął Franuś — i ucałował w buzię siostrzyczkę.

Biedna Stasienka — to tylko jedyne jeszcze serce biło dla niej.

— Cicho Stasiu, to może tatulo idzie.

— Nadsłuchiwali, przytuliwszy się do pierzyny.

Na dworze było cicho, tylko czasem zefir leśny poruszył słomianą strzechą, to znów Burek nadszczeknął i ucichł. Z dalekiej doliny, ze wsi dolatywały piania kogutów na trzecią.

— A może tatula zabił ten wojak — szepnęła Stasia cichuteńko, by ich bobok*) nie usłyszał

— Kiedy on się bał, bo tak uciekał.

— To może Moskale złapali tatusia?

— Co, Moskale? — dałby ja im — podniósł się Franuś odzyskując dawną swoją minę buńczuczną.

— A czemu ten wojak coś mówił matuli o tatusiu i o Moskalach, że tatusia zabili.

— E, ty nie wiesz, tatuś taki mocny, toby się nie dał zabić.

— A jak Moskali było dużo

Franuś zamyślił się — posmutniał i rzekł:

— A może ten tatuś gdzie daleko w lesie wołają na mnie, żebym poleciał z kosą albo ze siekierą. To chodźmy do lasu posłuchać.

Na wschodzie już trochę się zabieliło. Franuś zaczął coś szeptać Stasi cichutko, aby matuli nie zbudzić. potym zeskoczyli zwinnie oboje z łóżka, powciągali na nogi podarte obuwie, przez wieśniaków, harbołami zwane. Małej Stasi obwiązał Franuś czerwoną, wełnianą chustę i zawiązał wokoło szyji.

---

*) Tak nazywają dzieci stracha w swoim dziecięcym języku.

Na siebie wdział swój podarty spencerek, na to tatusiową kamizelę — płócienną chuściną okręcił koło głowy, z pod wyrku wyciągnął Stasi pobrudzoną lalkę, a dla siebie zaś małą kosę — którą mu tatuś wyklepał ze starego sierpa. Podeszli ku matusi z lekka — by jej nie zbudzić — ucałowali zimne usta macierzyńskie — zgasili kaganiec i cichaczem wyprowadzili się na podwórko.

Gwiazdki migotały łaskawie na niebie, mroźny wiatr począł ciągnąć od północy, przyprowadzając zaspałe dzieci do trzeźwości.

Burek zawyrknął radośnie, uderzając raz po raz ogonem o deski swej budy i rwał się z łańcucha do dzieci, jakby chciał okazać także ochotę do wyprawy na Moskala.

Stasia pociągnęła braciszka za rękę, podeszli do budy, wygłaskali kędzierzawe kudły stróża domu, który im się pieszczotliwie spinał na piersi. Stasia ucałowała Burka w jego zimną, mokrą mordkę, uchwyciła się za rękę z Franusiem i oboje zniknęli w ciemni leśnej.

Szli w stronę, kędy tatulo poprowadził wojaków.

Tu i ówdzie jeszcze leżący śnieg, wiosną rozrzedzony, zmiękły tamował im drogę — trzeszcząc przy załamywaniu się zmarzłej powłoki Wpadali często w wądoły, zapełnione ciężkim, zmokłym śniegiem i wiośnianym, lutym roztopem. Stasia po drodze zgubiła jeden za luźny trzewik — onuczki jej przemokły do nitki, rozluzowały się i opadły. Szła więc bosą nogą, a kiedy ją zaczęło boleśnie ziąbić w okrwanioną nóżkę, rozpłakała się.

— Co ci to Stasienko? — nie bój się, bo ja mam kosę — rzekł do niej Franuś.

— Mnie zimno.

— Gdzie?

— W nogę.

Franuś oglądnął jej nogi i namacał po ciemku, zimną, mokrą, nagą stopkę.

— A gdzie bucik i onuczki?

— Tam daleko mi spadły.

— To już nie znajdziemy, bo ciemno — usiądź, ja ci owinę moją chustką nogę.

Mówiąc to, usadowił maleństwo na omszonym pniu, zdjął chuścinę i jak mógł, owinął drżącą od zimna stopkę Stasi.

I znów poszli dalej.

Stasia zmęczona upadała coraz częściej, potykając się o wystające korzenie i pnie.

— Franuś, prawda, że jak tatulo przyjdzie do domu, to mamusia się obudzi, ugotuje nam kaszy ze skwarkami — prawda Franuś.

Biedactwu się chciało jeść.

— A matuś nigdy tak długo nie spała, ale niech się wyśpi — odrzekł też już zmęczonym głosem Franuś.

— Mnie się tak spać chce — Franuś, a daleko jeszcze tatuło?

Franusiowi się na płacz zbierało.

Mnie się też spać chce — poczekaj Stasiu, tu może pod tym drzewem będzie sucho, to sobie odpoczniemy. — o! patrz! tu będzie dobrze, tu są liście!

Usiedli pod starym dębem w wykroju między dwoma potężnymi jak ramiona olbrzyma korzeniami — na mokrych, zimnych liściach, które wiatr w

jesieni napędził w wykrój. Stasia już nie wiele czuła zimna w nogi, bo rąbek sukienki i onuczki już od mrozu skostniały — nie lepiej było z Franusiem, którego dziurawe buty napełniły się błotem i śniegiem. Franuś ułożył główkę Stasi na swych kolanach — sam oparł się o wklęsłą ścianę między korzeniami i zaczął drzemać.

— Franuś — odezwała się już napół sennym głosem Stasia.

— Co — zapytał Franuś także już senny.

— Tu mi tak dobrze, aaa! tak ciepło... — słyszysz, jak nas matula wołają? — ale poczekaj Franusiu, jeszcze nie chodźmy — aż się trochę prześpię — jeszcze maluśko. — O Franuś, tak się spać chce. Tatulek tam idą — widzisz?

— Ale Franuś — Franuś — co tam jest aniołków — tak latają, tak latają — takusińkie, jak nam matuś pokazywała na obrazku... a tak ładnie grają. Tak samo, jak w naszym kościele na sumie — chodźmy tam Franuś — tam tak cieplutko — matuś z tatulkiem też tam idą— o tak grają.

— Ale Franuś już nie słyszał, bo jemu aniołki też przygrywały.

Północny mroźny wicher od Petersburga wzmógł się nad wschodem i poruszył lasami, zamrażając coraz grubiej błotnistą powłokę ziemi.

Stasia tuliła jedną, ale już martwą rączką braciszka za kolana, w drugiej trzymała ukochaną brudną laleczkę, przytulając ją do twarzy. Franuś zaś oparty o dąb, obejmował główkę Stasi o złotawych loczkach, w drugiej ręce, zaciśniętej kurczowo dzierżył małą kosę do nieba, jako symbol pogromu Moskala.

Gwiazdki migotały łaskawie na błękicie, ku nim wzlatywał dobroczynny Anioł śmierci, unosząc dwie duszyczki przed tron Pana — jako jeden dowód więcej haniebnej zbrodni północnego satrapy.

— Panienka Leżajska była teraz matką Franusia i Stasi — sierotek.

Mroźny wiatr chwilami przebiegał po lesie, hucząc w jego konarach, to znów cichł zupełnie, a wtedy cichy nasz swojski zefirek zbudzony brzaskiem porannym — przelatywał jak motylek po kwiatach — od jodły do jodły, opowiadając im smutną historyjkę i kwiląc rzewną piosnkę już do wiecznego snu ukojonym sierotkom — za Ojczyznę... za Ojczyznę...

KONIEC.

po dezynfekcji